ROZMAITOŚCI.

Dnia 24 października, N^er^ 43. roku 1846.

O gramatyce J. N. Deszkiewicza.

(Dokończenie.)

Powiedziałem już gdzieindziej (list o Srzeniawie), że system głoskowy Mrozińskiego wybornie objaśnia wszelkie odmiany w imionach, ale znajomością martwéj głoski, nie objaśni nikt odmiany *słowa,* które samo jest synteza mowy. P. Deszkiewicz żadnego użytku nie zrobił z podziału głosek, dlatego jego formy przypadkowania imion, przedstawiają zamieszanie i nieład. Autor dziesięć razy musi powtarzać jedno, np. że *t* zmienia się na *c, r* na *rz, d* na *dź,* kiedy wypadało tylko oznaczyc, kiedy spółgłoski twarde zamieniają się na miękkie, i jednem takiem prawidłem wytłumaczyłby tysiące tych samych trudności w odmianach. Zobaczmy teraz, jak się powiodło panu D. wytłumaczyć odmiany *słowa,* gdzie z nieprzyjaznémi mu głoskami nie miał do czynienia.

Aby łatwiej wystawić odmiany słowa, pan D. zaczyna je od osoby 3 i *uważa to za przyrodzeńszy porządek.* A dawniej powiedział, że najpierwszym dla człowieka przedmiotem był sam człowiek i jego towarzyszka, i dlatego nazwy *ja, ty,* najpierwéj musiały być nadane. Jeżeli dawniej taki był przyrodzeńszy porządek w nazywaniu osób, jakże można teraz odmiany słowa zaczynać od osoby 3 *on, ona.* A wreszcie, i na to trzeba uważać, że młodzież tylko bałamucić się będzie, gdy w swoim języku nauczy się odmieniać słowo od osoby 3, a w innych językach zaczyna odmiany osoba 1 *ja.* Jużto i w przypadkowaniu pan D. pokazał, że jest nowatorem, chocto niby chwali dawne czasy: przypadek 4 położył na miejscu 2, a to dlatego, jak powiada, że *człowiek potrzebując swoję miłość lub nienawiść przelać na swoję towarzyszkę, musiał przedewszystkiém utworzyć 4 przypadek,* a więc kładzie go na drugiém miejscu. Pan D. źle trzyma o pożyciu małżeńskiém pierwszych ludzi; ja myślę że pierwéj mąż na żonę zawołał: daj mi *chleba,* i ztąd powstał 2 przypadek, a później dopiero mógł się na nią rozgniewać, gdy sama zjadła *chleb,* i ztąd się zrobił 4 przypadek. Porządek więc przypadków w naszych gramatykach jest bardzo naturalny. Podobne poprawki nie ułatwią nauki, a przymnożą trudności dla uczących się obcych języków.

Nic to nie pomogło panu D. że odmiany *słowa* zaczyna od osoby 3, jak również nie dowiódł w tém rozumowstwa (wyraz autora), że czasowanie zaczyna od czasu *przeszłego* Przeszłość, to historyja starca, w przyszłości leżą nadzieje młodzieńca; obecność, punkt ciągle ruchomy stanowiący zetknięcie przeszłości z przyszłością, to pole działania dla myśli człowieka, tu on najprzód pracuje, tworzy; ztąd więc zaczęła się pisać księga jego rozumowych pojęć i wyobrażeń, którą zostawił swoim następcom w języku. Bardzo więc rozsądnie robią gramatycy całego świata, że zaczynają odmiany *słowa* od czasu teraźniejszego, osoby 1. Ale pan D. chciał koniecznie wyszukać klucza, któryby mu wyjaśnił wszystkie osobliwości w odmianach, pochwycił więc za 3 osobę w czasie przeszłym, i z niéj uformował wszystkie osoby, we wszystkich czasach. Jestto błąd wielki u gramatykarza *rozumownego;* bo uważmy tylko słowo wyrażające bytność, bycie, *być,* które jest najpierwszém słowem, sądem człowieka, uważmy to słowo we wszystkich językach; nigdzie wyrażenie na czas przeszły niepodobne zupełnie do teraźniejszego: *byłem jestem, eram sum, j'étais je suis, ich war ich bin,* a więc wyrażenie na czas teraźniejszy nie mogło się formować z przeszłego, zatém i w innych słowach nie mogło to mieć miejsca.

Równie niepotrzebną jest rzeczą przywracać do języka dzisiejszego *liczbę podwójną,* która tylko w języku ludu jeszcze się przechowuje; próżne usiłowania pana D., aby do języka klas ukształconych wprowadzać wyrażenia: *jesteśta, byliśwa, chodźwa.* Zresztą, pojęcie dwójności tak dalece dziś zatarło się, że nawet lud mówiąc, *okrywajta się kożuchoma,* mówi tu o wielu osobach i wielu kożuchach, nie zamierzając tém wyrażeniem oznaczać dwóch tylko osób i dwóch kożuchów, chyba że dodaje przymiotnik *dwa.* Po co więc przywracać wyrażenie dwójności, którego zakończenia same nie wyrażają, chyba przez określenie wyrazem *dwa?*

Coby też nasze damy powiedziały, gdyby taki purysta, jak pan D., przemówił do nich swoim językiem, np. *pani! zagrajwa na dwu fortepianu ze skrzypcoma; wszak potrafiwa wykonać to dzieło? Tak, musiewa je wykonać!* Byłby to list rekomendacyjny, którego skutki łatwo przewidzieć. Ale potrzeba było koniecznie autorowi, z czémsić nowém wystąpić i pokazać, że się czytało stare książki, że się zna te, czego inni nie znają; trzeba było przemawiać ciągle o miłości i poszanowaniu dla przodków, o uwielbieniu dla nich, tą miłością skłonić ku sobie serca czytelników, aby potém bezkarnie pleść im gawędy o żelaznym wilku.

Pan D. wynajduje jakieś tajemnicze *czasy* i tworzy na ich wyrażenie szczególne odmiany np. *ma powinniśwa byli byli być.* Nie określiwszy nigdzie znaczenia czasu, powiada że to jest czas *zaprzeszło przyszły*. Jak to wytłumaczyć jakiemu malcowi, któregoby chciano nauczyć języka rozumowego naszych przodków? Zdaje się że ta *przyszłość przeszła*, nigdy mu w głowę nie wlezie. Inny jaki gramatyk nazwałby to *wyrażeniem omówném* (perifrastica), jakich tysiące zrobić można w każdym języku. Powtarzanie zaś takie *byli byli*, przypomina mi opowiadanie p. Arago, który w swoich podróżach badając dzikie ludy Australii znalazł, że kiedy chcą wyrazić liczbę mnogą, to powtarzają dwa razy nazwisko rzeczy, np. *bora bora*, to znaczy, że widzą wielu *bora.* My kiedy chcemy odkreślić odcienia czasu, mamy przyjemniejsze dla ucha omówienia. My w naszym języku tak wiele poświęcamy dla harmonii nawet pojedyńczych wyrazów, że wszelka monotonija, choćby tylko w głoskach, razi nasze ucho, i zmusza do przekładni głosek podobnych. Ci co koniecznie chcą wszystko podciągnąć pod formy, bez względu na naturę języka, tak go pokręcili, że w wielu miejscach inaczéj się pisze podług gramatyki, a inaczéj mówi. Czy dziś mówi kto np. *słyszymy, życzymy?* każdego razi zbieg trzech sylab, a w każdéj ta sama samogłoska *y*, dlatego też środkowe *y* zmienia się na *e* i wszyscy bardzo dobrze mówią: *słyszemy, życzemy;* daléj zaś w 2 osobie nie razi ucha wyrażenie: *słyszycie, życzycie*, bo końcowe *e* psuje monotoniją *y.* Ale cóżby się stało z formami szanownych gramatyków, gdyby chcieli zważać na takie rzeczy jak harmonija, monotonija? niechby tylko opuścili swoje formy, w których im tak dobrze, jak dzieciom w paskach, niezawodnie romantyzm owładnałby gramatykę. Widzę, jak drżą na samo wspomnienie tego straszydła. Alboż mało złego narobiło tej dobrej niegdyś poezyi! Dziś, szalona, zerwała zupełnie z gramatyką, która dawniéj tak piękne uczyła robić wiersze, a jedna jéj część (prozodyja, iloczas) poświęcona była nauce téj fabrykacyi. Sam pan D. w rozdziale o wierszowaniu str. 457 mówi: *w grammatyce nie należy podawać prawideł: jakim sposobem można zostać pojetą? Grammatyk tylko tę może dać przestrogę: aby zbytecznéj wolności tak zwanéj pojetyckiéj na psucie języka nie używać.* Mieliżby jeszcze gramatycy pozwolić na usunięcie form z języka, toby było pewną zgubą ich sztuki. W czémżeby się pokazała ich mądrość, gdyby nauka przywiedziona była do najprostszych wypadków? Czémżeby była ich uczoność, bez owych prawideł, prawidełek, uwag, przepisów, któremi napychają swoje książki?

Kto dla pokazania odmian *słowa* wprowadza sześć form i blisko drugie tyle podwzorów czy odwzorów, ten nie pojął zasady tych odmian, a szukając wszędzie foremności, najgrubsze popełni błędy. I tak, ponieważ się mówi: *daję, dajesz, daje*, więc podług pana D. trzeba mówić: *stoję, stojesz, stoje; muszę, musiesz, musie*; *wolę, wolesz, wole;* chciałby nawet, żeby mówić: *siedziesz, słyszesz, widziesz*, bo w najlepszych pisarzach i u pospólstwa znalazł, że się mówi: *siedziemy, słyszemy*, str. 369. Pan D. zobaczył *e* w *siedziemy, stojemy*, i chciał je powtykać wszędzie; a ja powiadam, że dla téj saméj przyczyny, dla któréj się mówi: *siedziemy*, nie można powiedzieć *siedziesz.*

Dotąd mówiłem o części analitycznéj dzieła pana D., zdaje mi się, że jest bez pożytku dla nauki i młodzieży, bo autor z fałszywego stanowiska zapatrywał się na zdolności języka i nie wprowadził żadnego systematu i ładu do swoich opowiadań.

Mamy mówić teraz o drugiéj części gramatyki, jeszcze ważniejszéj jak pierwsza, jeszcze trudniejszéj jak pierwsza, bo mniéj wyjaśnionéj jak tamta, słowem, mamy mówić o *składni* pokazującéj, jak z pojedyńczych cząstek mowy złożyć mowę. Ale pan D. małą wartość naznacza téj części gramatyki i bardzo niechętnie się bierze do pisania o *składni*, mówiąc, że »*grammatykarz licząc na rozsądek powszechny, powinien jak najkrótsze i najnieliczniejsze podać prawidła: aby drugiéj naszego języka własności wielkiej jaką jest swoboda, nie krępował.*” W części analitycznéj swojéj gramatyki nie obawiał się autor tuzinami rzucać prawidła i wyjątki, w składni chce najnieliczniejsze podać przepisy, aby nie krępować swobody języka. Niepotrzebna obawa. Składnia jestto traktat o dostatkach i zasobach języka; tu nie można powiedzieć fałszu, nie skłamawszy widocznie; nie można robić przypuszczeń ani czczych hypotez, bo tu wszystko oparte na wypadkach mających liczebną prawie pewność. Nie mówię jednak, aby i tu nie można pleść bredni jak o każdéj innéj rzeczy, któréj nie pojęliśmy jasno i dokładnie. Mógł więc autor śmiało wystąpić z badaniami swemi nad składnią języka, témbardziéj, że jak sam powiada: *mowa nasza krzywą drogą zaczęła postępować i obce pomysły obcą składnią tłómaczyć.* Wre-

szcie, ma już w tym przedmiocie prace Jakubowicza, Kurhanowicza, Muczkowskiego, które powinny go były przekonać o ważności téj nauki. Nie pojmuję więc, dlaczego autor tak się lęka pisać o składni, skutki też owéj niepewności i pośpiechu zaraz się pokażą.

Nie powiedziawszy nawet z czego się składa zwyczajny sąd, zdanie, mówi o okresach. Oto przykład *okresu poczwórnego*, str. 377. „*Niegodziwy oszuście! omamiałeś dotąd ludzi: ale przyjdzie czas, gdy cię wszyscy poznają, i odniesiesz zasłużoną karę.*" Autor powiada, że *tym sposobem mogą być okresy: popiątne, poszóstne, posiódmne, poósmne.* Więc u niego ile będzie *słów*, tyle okresów, a ile okresów, tyle zdań! Macie teraz za swoje wy wszyscy, coto sobie głowy łamiecie nad oznaczeniem, co jest okres, co zdanie, co zdanie główne, a co niegłówne, co poboczne, co uboczne, co przysądzone, co zasądzone, co piérwszego gatunku, a co drugiegiego i t. d. i t. d. Jednem dmuchnięciem obalono wasze domki z kart, a były takie ładne!

Następnie autor mówi o *składni zgody,* lecz nie wiém, co się będzie z czém zgadzało, skoro nie powiedział nic o częściach zdania i stosunkach między niemi. Żeby jednak podać jakie prawidła o zgodzie, powiada, że przymiotniki dostały *trojakie rodzaje w zakończeniach,* aby się zgadzały ze swémi rzeczownikami, i o tém mówi na kilku stronnicach, wkońcu przytacza przykłady, oto niektóre: *lwy srogie są postrachem pustyń afryczańskich, konie krulowe, konie krulewskie.* Bardzo dobrze, że autor uczy jak zgadzać przymiotniki z rzeczownikami, ale przedewszystkiém w składni należało pokazać rozmaite przypadki zgody *słowa i przymiotu z przedmiotem* (subjekt).

W składni rządu zwróciło moję uwagę wyrażenie autora na str. 400, że *wskazanie rządu słów przyimkami dla Polaków jest niepotrzebne.* Na to się nie zgadzam, bo właśnie tu zaletą największą gramatyka będzie, ukazać wszystkie stosunki jakie tworzyć można między wyrazami za pomocą przyimków i przypadków. Doskonalenie języka zależy na pomnażaniu tych stosunków; chwała dla gramatyka, który treściwie wykaże ich możliwość i warunki, a pan D. powiada, że to rzeczy niepotrzebne.

Składnia *szyku,* powiada autor, że jest najswobodniejsza, że *rozumowstwo i czucie zgodnośpiewności musi być w niéj przewodnikiem.* A jednakże i tu trzebaby jakie prawidła postanowić, bo niektóre książki naukowe nawet gramatyki, tak nieszykownym stylem są pisane, że jak się wyraża autor, *w czytaniu przykrość się czuje, podobna jechaniu po grudzie;* (o czém) *każde ucho gędzieckopolskie łatwo się przekona.*

W końcu pozostaje zrobić jeszcze kilka uwag nad pisownią autora, zwłaszcza że pan D. widzi grzech ojcobójstwu równający się w tych, co nie zachowują w pisaniu pewnych krések. Powiada, że *mowa nasza przyswoiła niegdyś tak wiele cieńszych, pieściwszych brzmień, że dziś niektórzy już nawet nie mogą tych brzmień prawdziwie dźwięcznych i gędzieckich oddać, bo usta wymawianiem częstszém obcych wyrazów stwardniały a uszy się znieczuliły.* Zapewneto autor chce mówić, że nie możemy się przyzwyczaić do owego gędzieckiego *ń* i mówić podług niego: *skłońnik pojedyńczy, zarańna jutrzeńka, alexandryńska biblioteka.* Rzeczywiście, podobne słodycze w języku, tak są nieznośne dla ucha polskiego, jak smak lukrecyi w rosole. Zapewniam, że na całéj przestrzeni, gdzie tylko mówią językiem polskim i gdzie on nie uległ wpływowi obcych języków, nikt podobnych miękkości nie używa. Owe *gędzieckie* dźwięki *dyń, dryń, trzeń* są zupełnie przeciwne duchowi języka, który nie cierpi podobnych *spieszczeń.* To jego charakterystyczna cecha, że twarde spółgłoski, nawet tam, gdzie się dwie razem schodzą, najstaranniéj przechowuje. Jestto dziedzictwo po ojcach, którzy témbardziéj przeciwnie mówić ani pisać nie mogli. Oto, jakie cudackie wyrazy potworzył pan D. szukając wszędzie gędzieckich dźwięków: *afryczański, alexandryński.* Ciekawy jestem jakieby uformował przymiotniki z wyrazów, np. loteryja, materyja, estetyka, humorystyka. Próżne usiłowania owych *miękczycieli* języka, ich wymysły zostaną dla nich; tylko *cielęcina*, podług zdania Francuzów, będzie najmiększym wyrazem polskim.

Pan D. zamiast ż z kropką pisze ƶ przekréślone; ważna ulga dla drukarni, ale za to oburza się na tych coby nie kreskowali na końcu głoski, która w niektórych odmianach jest miękką, w innych twardą, np. *rób'*, robi, *postąp'* postąpi; ale najbardziéj troskliwym jest o kréskowanie *e*, gdy tymczasem nikt już dziś nie czuje różnicy w wymawianiu *é* ścieśnionego i *e* otwartego, każdy z nałogu i nawyknienia tylko kréskuje *é*, bo gramatycy tak mu kazali. Dążenie do brzmień otwartych jest widoczne w dzisiejszém wymawianiu, toż niedawno jeszcze i *a* było kréskowane, dziś tylko lud w Mazowszu zachowuje *a* ścieśnione np. *doj pon,* zamiast: *daj pan;* przyszła koléj i na *e*, że go więcéj kréskować nie trzeba, bo w wymawianiu nie przedstawia już żadnéj różnicy, a uprości się przez to nauka języka, bo ubędzie kilkanaście prawideł bezzasadnych zupełnie. Skutkiem jeszcze i tego dążenia do brzmień otwartych wtrącamy *e* zamiast *i* lub *y* wszędzie przed zakończeniem 1 osoby mnogiéj czasu teraźniejszego np. *czyniemy, robiemy;* i wiele dobrych książek, a z gazet *Warszawska* tak są już drukowane.

Nie jestto nowatorstwo szkodliwe językowi, albo zacierające źródłosłów wyrazów, ale potrzeba do

której nas zniewala piękniejsze, czystsze wymawianie, wypływające ze zdolności języka. Zawszeż będziemy inaczéj mówić a inaczéj pisać? zawszeż będzie inny język gramatyczny a inny ustny? a przecież tak być nie powinno, bo do téj niezgodności nic gramatyków nie upoważnia. Obszerniéj już w tym względzie tłumaczyłem się w liście moim o Szreniawie; tu dodam jeszcze, że Kopczyński wprowadził najniepotrzebniéj w męzkich i nijakich zakończeniach przymiotników różnice *ym* i *em* i kazał pisać: *dobrym ojcem, dobrem dzieckiem.* Jakaż tu niejasnośćby powstała, gdybyśmy pisali jednostajnie i zgodniéj z wymawianiem: dobrem ojcem, dobrem dzieckiem? Zawsze się tak kładzie przymiotnik, aby widocznem było do czego się odnosi; nikt z zakończenia tego nie dochodzi, i dlatego choćby nawet wcale nie miał zakończeń na przypadki, jak jest w języku francuzkim, jeszczeby żadna ztąd nie powstała niejasność, do którego rzeczownika przymiotnik należy, przeto różnice w zakończeniach *ym, em* i t. p. są niepotrzebne, i życzyćby należało, dla ułatwienia nauki, aby te różnice w piśmie znikły. Sami potworzyliśmy urojone trudności i prawidła w naszym języku, i dziwiemy się, że go się obcy uczyć nie chcą i nam samym z trudnością przychodzi jego poznanie. Ale przewiduję, co na moje uwagi i projekta powiedzą ci wszyscy, dla których jeszcze Kopczyński jest wyrocznią, którzy myślą tylko podług cudzego rozumu; wierzę jednak, że prawda nad uprzedzeniem górę weźmie i moje postrzeżenia wejdą w wykonanie.

Jeżeli kiedy pan D. przeczyta moje listy, w których poważne jego dzieło tak jakoś lekko traktowałem, może wzruszy ramionami i pokiwa głową na taką swawolę z mojéj strony; może nawet nie przyzna mi dość *wiedzy*, mądrości do sądzenia takich książek. Czuję jednak, że gdyby mi się dostała do rąk gramatyka odpowiednia do dzisiejszego stanowiska nauki, godna języka naszego, potrafiłbym uwielbić autora, otoczyć czcią i poszanowaniem jego imię i przyrzucić jaki listek do wieńca jego zasługi. Może ja się i myliłem względem pana D., może kto inny, cierpliwszy, z zimną krwią weźmie się do więcéj uczonego rozbioru jego pracy; ja oglądałem rzeczy podług mojego sposobu widzenia.

Józef A. Czajkowski.

REZYGNACYJA.

Opowiém tylko zdarzenie, którego uczestnikiem byłem; życzyłbym jednak, aby ci, którzy zupełnie są szczęśliwi, nie czytali téj powieści. Nic tam w niéj nie ma dla nich, ani wymysłu, ani zdarzeń. — Są jednak serca, które cierpiały, a wiele marzyły, którym miło jest w smutku się zatapiać, które wzdrygają się i płaczą, zasłyszawszy westchnienie lub skargę. Do tych chcę przemawiać, i opowiedzieć im rzecz prostą jak wszelka prawda, a wzruszającą jak wszystko proste.

W północnéj Francyi, niedaleko belgijskiej granicy, leży małe, nieznaczne miasteczko. Otoczone jest wysokim murem obronnym, który że tak powiém, przyciska drobne i nędzne domostwa jego. Nie mogło się téż nigdy rozszérzyć, i gdy liczba mieszkańców stawała się większą, każdy chcąc się pomieścić, musiał na mniejszém ograniczać się miejscu. — Zdaleka więc patrząc na te, jedne na drugich popostawiane mieszkania, na te wałem opasane domy; zdawało się, iż groźne więzienie ma się przed oczyma. Klimat w tamtéj okolicy, nieprzyjemny, wilgotny i niezdrowy, gdyż mgła, chmury, śnieg i dészcz zaciemniają nieba przez sześć miesięcy roku, a gruby, czarny dym węgli kamiennych, nad każdym wznoszący się domem, zasępia tém więcéj widok tego miasteczka.

Nie zapomnę nigdy smutnego wrażenia, jakie uczułem, wkraczając doń przez most zwodzony; spytałem się z dreszczem samego siebie, czy w istocie są ludzie, którzy się tu rodzą i umiérają, nie bywszy gdzieindziéj, nie znając reszty świata, uroków natury, nie znając szczęścia?! — A przecież wtedy, ludzi takich było w tém miasteczku kilka!

Opatrzność jednak, odbiérając im jedno, w drugiém im to wynagradzała; obdarzyła ich bowiem miłością pracy, nie mieli więc oni i czasu uważać, czy niebo jasne lub chmurne, czy słońce świeci, lub dészcz leje. Zapominali o tém czego nie posiadali. Ja jednak, podczas dwurocznego pobytu mego tamże, szczerze życzyłem sobie światła, świéżego powietrza i nieba. — Chcąc się dostać poza miasto, w pola, w góry, gdzie swobodniéj i wolniéj się oddécha, trzeba było schodzić po wązkiéj stromo położonéj uliczce, prowadzącéj ku bramie.

Pewnego dnia, idąc tą uliczką, spostrzegłem w niéj mały domek, który się zamieszkanym być zdawał. Nie miał piętra, lecz tylko równo z ziemią prawie dwa okienka, między niemi drzwi. Szaro był pomalowany, a okienka składały się z mnóstwa małych, okrągłych szybek, okrytych ciemno-granatowym osadem. Ulica była tak wązka, iż niepodobném było prawie, aby tam kiedykolwiek mógł wkraść się promień światła słonecznego, zawsze tam téż był cień, pomimo piekącego gorąca gdzieindziéj.

W zimie, gdy śnieg przymarzł na uliczce, trudno było na nogach się utrzymać, — była téż zawsze tak pusta, że najczęściéj ja sam po niéj szedłem. — Nie przypominam sobie przynajmniéj, abym tam kiedy był spotkał ludzką istotę — nie widziałem nawet ptaka — „Zapewnie,” mówiłem sobie, »domek ten zamieszkany jest przez ludzi bardzo podeszłych, których już nic cieszyć, ani smucić nie może. — Młodym być, i tu mieszkać, byłoby okropnie!”

Zawsze cicho było w tym domku, żaden ruch, ani szelest w nim nie powstał. Grobowe milczenie w nim panowało, a ja codzień pytałem siebie: »Kto tu mieszkać może?» —

Wiosna nadeszła — lód i śnieg na uliczce leżący zamienił się w wodę i wilgoć. — I wilgoć znikła — nakoniec kilka trawek i kwiatków z poza murów, swe smutne wychyliły główki, chcąc się także przypatrzéć małéj cząstce nieba, którą widać było z uliczki — i która z każdym dniem czystszą się stawała. Dosyć, że i w ten odludny zakątek, doszła iskierka życia wiosennego; w domku jednak ciągle było cicho i spokojnie. —

W czerwcu odbywałem jak zwykle tamtędy moją przechadzkę; przechodząc koło domku, spostrzegłem w oknie wiązkę fijołków, w śklance napełnionéj wodą. Smutek mnie ogarnął i rzekłem sobie: »Ach, mieszka tu ktoś, co cierpi!»

Aby lubić kwiatki, trzeba być młodym, albo przynajmniéj zachować wspomnienie młodości; nie można stać się zupełnie istotą materyjalną, i trzeba umieć nic nie czynić, a przecie nie być bez zatrudnienia; trzeba umieć marzyć, wspomnienia własne wywoływać, i miéć nadzieję. —

Gdy widzę kogo, co smutne, z trudami połączone życie prowadzi, a przytém lubi kwiatki, myślę, iż w takim toczy się walka między potrzebami życia, a uczuciami duszy. — Ta wiązka fijołków zasmuciła mnie i mówiła mi: „Żyje tu istota, pragnąca powietrza, słońca i szczęścia, ktoś, co wié czego mu brakuje, i tak uboga jest w uciechy, iż jéj nędzna fijołków wiązka, radość i ukontentowanie sprawia.» —

Nazajutrz znów szedłem uliczką — kwiatki już więdnąć poczynały, a gdym bliżéj przystąpił — ujrzałem iż okna były na wpół otwarte. — Promień słońca, a raczéj promień światła dziennego, wciskał się do izby, i na podłodze się obijał — w lewo i w prawo jednak tém większa panowała ciemność, i nic spostrzedz nie mogłem. — Następnego dnia znów tamtędy szedłem. — Byłto prawie dzień letni — wszystkie ptaki świegotały i spiewały — drzewa się rozwijały i jaśniały blaskiem słońca, wszystko się śmiało wkoło mnie i oddechało radością i szczęściem. — Jedno okno domku było zupełnie otwarte! —

Przystąpiłem bliżéj — i ujrzałem kobiétę siedzącą przy oknie z robotą. — Mój pierwszy rzut oka na nią, podwyższył smutek jaki uczułem na widok jéj posępnego mieszkania. — Ile lat miéć mogła, poznać nie byłem wstanie. Zbyt młodą nie była, ani zbyt piękną, albo raczéj już przestała być piękną. — Wyglądała blado, była chora lub smutna. — Rysy jéj pełne były anielskiéj słodyczy, a brak rumieńców bardziéj ze zmartwienia i wewnętrznych zgryzot, niż z liczby lat pochodził, tak jest, bladość jéj lica, a przytém krucze włosy, miały blask nie do opisania. — Szczupła nadzwyczaj, siedziała schylona nad swą robotą. — Ręce jéj były białe, ale chude. Ubrana była w ciemną suknią, czarny fartuszek, i biały kołnierz wywinięty u szyi — zwiędniałą wiązkę fijołków wetknęła była do gorsu, aby i ostatniego zapachu ich nie stracić. —

Gdy oczy podniosła, pozdrowiłem ją — na co mi głowy skinieniem i smutnym uśmiéchem podziękowała. — Teraz mogłem się jéj lepiéj przypatrzéć: była jeszcze młodą, u kresu jednak gdzie się nią być przestaje — i tak blisko, iż myśląc o pożegnaniu jéj z tą błogą epoką życia, serce mnie bolało. Widać było, iż cierpiała, ale bez wewnętrznéj walki, bez skargi, nawet bez łez. W rysach jéj odbijało się poddanie się woli Boga, rezygnacyja i spokojność, podobna do spokojności pośmiertnéj. — Pomyślałem wtedy, że dusza jéj nie uczuła nigdy mocnych wstrząśnień, lecz że tylko długo cierpiała — aż nareszcie zgasła......

Jéj spojrzenie wyraźnie to mówiło. Są osoby, które przemawiają oczyma, i raz jeden je widziawszy, nigdy ich zapomnieć nie można. Do tych należała moja nieznajoma.

Od tego czasu codzień ją na tém samém widywałem miejscu. — Pozdrawiałem ją zawsze — dziękowała mi błogim uśmiéchem. W niedzielę nie pracowała. — Zapewne w ten jeden dzień wychodziła z domu; co poniedziałek bowiem widziałem świeżą wiązkę fijołków w oknie — która więdła bardzo prędko, jednak tylko co tydzień odmienianą była. — Widząc ją zawsze haftującą, domyśliwałem się, iż pracuje na utrzymanie życia; ubior jéj był także nad zwyczaj skromny. — Zupełnie sama w tym domu nie mieszkała, gdyż pewnego dnia usłyszałem w głębi mieszkania głos rozkazujący: »Amalio!» — co usłyszawszy prędko wstała. Głos ten nie był pański, a Amalia nie była mu posłuszną jak służąca. — Była w tém prędkiém wstaniu taka gotowość radośna, a przecież głos ten nie miał słodyczy dźwięku. Wtedy myślałem, iż Amalia od osób u których mieszka, nie jest kochaną; tak jest, że nawet się źle z nią obchodzą.

Czas przechodził — a ja codzień obznajamiałem się lepiéj z życiem biedniéj Amalii — nieużywając innych środków, jak tylko codzień raz przechodząc koło jéj okna. Wspomniałem już, iż widząc mnie patrzącego na nią z nienatrętną ciekawością, mile się uśmiéchała. Musiała i ona czytać w méj duszy, tak jak i ja skryte jéj myśli poznawałem, a przynajmniéj poznawać chciałem. —

Po niejakim czasie, zerwałem kilka kwiatów na mojéj przechadzce, i zrobiwszy z nich wiązkę, położyłem je na oknie Amalii. Rumieniec oblał jéj lica, poczém uśmiéchnęła się uprzejmiéj jak zwykle. Od tego czasu codzień miała swój świeży bukiet, a do polnych kwiatów wplatałem i ogrodowe Okno

Amalii okryte było kwiatami, a szary domek, miał swą wiosnę, swe lato. —

Pewnego wieczora wracając z przechadzki uliczką moją, zaskoczyła mnie mocna burza, i deszcz zaczął lać strumieniami. — Amalia to widząc, pobiegła ku drzwiom, a otworzywszy je, skinęła na mnie, abym próg przestąpił; stanęła przed drzwiami swéj izdebki, gdzie ją zawsze widywałem, i z łzawémi oczy, podając mi rękę, rzekła: „Dziękuję!” Było-to piérwsze słowo, które z ust jéj słyszałem. Weszliśmy do pokoju. Podłoga była z zimnych kamieni — kilka słomą wyplatanych krzeseł, i stolik, stanowiły całe umeblowanie. Z powodu małéj ilości światła i słońca, która tam dochodziła, pokój był ciemny, zimny i wilgotny. —

Zrozumiałem wtedy bladość biédnéj Amalii, nie utraciła ona świéżości twarzy, gdyż nigdy jéj nie miała. Bladą i słabą wzrosła, jak roślina w cieniu. W ciemnym kącie pokoju spostrzegłem dwie na stołkach siedzące osoby, których piérwéj nie uważałem — starca i staruszkę. Piérwszy siedział nic nie robiąc, osłupiałe i nic nie wyrażające oczy w jeden punkt przed siebie wlepiając, przekroczył był zwykłą granicę życia— i tylko ciało jego żyło jeszcze; piérwszy rzut oka na starca wskazywał, iż biédny — zdziecinniał. — Staruszka robiła ponczochę — nie patrząc na nią — była ciemną..... To więc było, co krył domek szary w swéj ciemnocie i cichości — ciemną staruszkę — zdziecinniałego starca — i młodą, przed czasem zwiędniałą dziewczynę— któréj młodość i wdzięki przez otaczające ją podeszłe osoby, i więżące ją odwieczne mury, że tak powiém stłumione i zniweczone zostały. —

Oby niebo było każdą dziewicę z ograniczonym stworzyło rozumem! Istotę zatrudniającą się tylko domową pracą — która w téj sferze szczęśliwą się mieniąc — o niczémby innem nie myślała — ale niestety! dusza Amalii byłto instrument, którego struny niebiańskie dźwięki wydać byłyby mogły — na wieczne milczenie jednak skazane zostały. —

Ach! życie i los Amalii daleko był smutniejszy, niż się obawiałem Ja widziałem tylko blade i schorzałe jéj lica, smutkiem znękaną twarz!..... Nie doznała ona żadnéj uciechy — nic w swego życia kolei nie znalazła, coby jéj serce i duszę rozweselić mogło.... Widziała— jak czas pomału jéj młodość, piękność, jéj nadzieje i życie pożerał— ścinał i niszczył te piękne kwiatki, te ozdoby ciała i duszy— niczém jéj tyle strat nie wynadgradzając! —

* *
*

Od tego czasu bardzo często odwidzałem Amalię. Pewnego dnia, gdym przy oknie koło niéj siedział, opowiedziała mi swe smutne życie témi niemal słowy:

„Urodzona jestem w tym domu, i nigdy go nie opuściłam. Rodzina moja nie pochodzi z tych okolic, obcymi tutaj jesteśmy, bez krewnych, bez przyjacioł. Rodzice moi nie byli już w kwiecie wieku, gdy ich węzeł małżeński połączył. Nie znałam ich nigdy młodymi. Matka moja ociemniała, co jéj charakterowi coś surowego nadało, a tak pobyt mój w domu rodzicielskim zawsze był smutny. Nikt tu nie jest szczęśliwym. Młodość moja przeszła cicho, spokojnie; zawsze i surowo zakazaném mi było, nie robić żadnego szelestu, nawet śpiéwać nie mogłam. Rzadko mnie kiedy pieszczono; rodzice moi kochali mnie, nigdy mi jednak swych uczuć nie wyjawiali; sądziłam o nich podług mnie, a kochając ich sama, przekonaną byłam, że i oni mnie kochają.....

Pomimo tego życie moje nie zawsze tak było smutne jak teraz; miałam siostrę....”

Oczy Amalii napełniły się łzami, lecz łzy nie wypłynęły — zbyt były nawykłe do tego. — Mówiła daléj:

„Miałam starszą siostrę, która cichą była jak matka moja, łagodna i pełna uczucia i przywiązania do mnie. Kochałyśmy się nawzajem stale i szczérze, i obie naprzemian pielęgnowałyśmy naszych rodziców. Nigdy prawie nie użyłyśmy szczęścia; módz się przechadzać na polach, w lesie, na górach, jedna z nas zawsze w domu zostać musiała, a ta która wyszła, przynosiła kwiatki, i opowiadała siostrze o słońcu, o drzewach, o powietrzu.... w wieczór pracowałyśmy obie przy lampie; mogłyśmy rozmawiać, rodzice bowiem usypiali koło nas, a tak spojrzawszy jedna na drugą, widziałyśmy przynajmniéj uśmiéch życzliwy.— Bóg nie byłby powinien nas rozłączać! Nieprawdaż? Lecz ja nie skarżę się, nie sarkam. Maryja szczęśliwszą jest tam — w niebie!....

Nie wiém z czego pochodziły piérwsze zarody choroby Maryi, czy z braku powietrza, czy z braku szczęścia, widziéć jednak mogłam, jak cierpiała, i powoli więdła. Sama tylko troszczyć się, i pielęgnować ją musiałam. Matka moja nie widziała jéj, a ojciec zapadł w ten stan, w jakim go teraz pan widzisz..... Później dopiéro skłonić Maryją potrafiłam, aby rady lekarza zasiągnąć zechciała, lecz wtedy już było za późno, i nic jéj już pomódz nie mogło; dogorywała jeszcze czas niejaki, nim usnęła na zawsze! W dzień przed swą śmiercią, skinęła na mnie: siadłam przy jéj łóżku, a ona biorąc moje w swoje trzęsące się ręce, rzekła do mnie: „Bądź zdrowa Amalko!— Przykro mi jest z tobą się rozłączać.... nie trać jednak odwagi— pielęgnuj naszego ojca i matkę, oni są dobrzy, kochają nas, choć nam tego nie mówią.... Szanuj twe zdrowie dla nich, gdyż dopiéro po nich umrzéć ci wolno. Bądź zdrowa, kochana, dobra siostro! nie płacz zanadto, a módl się często do Boga, a teraz— do zobaczenia, Amalko!”

W trzy dni potém wyniesiono Maryję z domu w trumnie — a ja sama zostałam przy moich rodzicach.

Gdy matce naszéj oznajmiłam śmierć Maryi, krzyknęła boleśnie, zerwała się z krzesła i sama ku niéj iść chciała, upadła nieboga, a ja przystąpiwszy do niéj podniosłam i zaprowadziłam ją na jéj miejsce. Od tego czasu nie skarży się więcéj ani płacze, ale jest daleko cichszą, i więcéj milczącą niż piérwéj, i częściéj paciorki różańca w swych palcach przesuwa.

Teraz już panu nie mam nic do opowiedzenia, mój ojciec nagle zdziecinniał, utraciliśmy większą część małego naszego mająteczku, która nas dotychczas od troski wolnymi czyniła; życzyłam sobie, aby rodzice moi o tém się nie dowiedzieli, oszukać ich, było fraszką; ojciec już nic nie rozumié, matka nic nie widzi; zaczęłam więc pracować, i potajemnie me hafty sprzedawać. Od chwili śmierci méj siostry, z nikim więcéj nie rozmawiam.... chętniebym czytała, ale czasu nie mam, gdyż pracować muszę. — W niedzielę tylko używam trochę świeżego powietrza, nie mogę się jednak bardzo oddalać, gdyż samą jestem.

Kilka lat temu, gdy młodszą byłam, marzyłam wiele, siedząc tu i patrząc w niebo. — Zaludniałam moją samotną wyobraźnię mnóstwem myśli, które mi czas skracały; dziś myśli te są zdrętwiałe, sparaliżowane, i już ani rozmyślać, ani marzyć nie umiém. — Póki byłam młodą, i nie zbyt szpetną, spodziéwałam się jakiejś zmiany losu mego. — Zaczynam teraz 29ty rok życia. Twarz moja pobladła, więcéj ze smutku i zgryzoty, niż z wieku — dziś niczego więcéj nie oczekuję ani się spodziéwam — i tu zakończę samotne dni moje....

Nie myśl jednak, iż z rezygnacyją się memu losowi poddałam, o nie! Były dnie, gdzie serce moje wzdrygało się przed myślą, iż się zestarzeję nie znając miłości. — Nie być kochaną — to jeszcze być może; ale saméj nie kochać! — tego serce ludzkie znieść nie potrafi! — Muszę się więc przyznać, iż często się opatrzności opiérałam, i narzekałam, gorzkie jéj czyniąc wyrzuty. — To zaburzenie w mych piersiach ustało, i znikło tak, jak i moje nadzieje.... Często myślę o ostatnich słowach méj Maryi: »do zobaczenia siostro!« — i znajduję wtedy spokój i zaparcie się siebie saméj, modlę się często, lecz rzadko kiedy łzy ronię.... A pan jestżeś szczęśliwym?«

Nie odpowiedziałem na zapytanie Amalii; mówiąc jéj o szczęściu, takbym był zbłądził, jak kiedy kto mówi o niewdzięcznym przyjacielu przed tymi, o których tenże również zapomniał.

* *
*

W kilka miesięcy potém, w piękny ranek jesienny, właśnie wychodziłem z domu by odwiedzić Amalię, gdy we drzwiach spotkałem idącego do mnie młodego oficera z oddziału piechoty, stojącéj w tém miasteczku załogą. Widząc, iż wychodzę, wziął mnie za rękę, i oba szliśmy ku uliczce, gdzie mieszkała Amalia, mówiłem o niéj, a widząc iż słowa moje, oficera, p. Maurycego d'Erval interesowały, zwolniłem kroku, i gdyśmy do szarego domku przybyli — opowiedziałem mu całą historyję Amalii.

Maurycy odprowadziwszy mnie aż pod drzwi, spojrzał na Amalię z wzruszeniem, skłonił się jéj i odszedł. — Ona zaś mnie tylko oczekując, zarumieniła się; a gdym wszedł, piękną mi się wydała, może dla téj chwilowéj barwy jéj lica. Nie wiém dlaczego, ale dawne myśli krzyżowały mi się wtedy po głowie; długo patrzyłem w oczy Amalii, poczém wziąłem wiązkę kwiatów, i prosiłem jéj, aby je sobie do włosów wetknęła. Uczyniła o com prosił, i nie rozumiejąc mnie uśmiéchnęła się; ten uśmiéch był mi przykrym. Uśmiéch nieszczęśliwych tak smutny! zdaje się, że tylko dla innych, nie dla siebie to czynią.

Przeszło dni kilka, nim Maurycego znów spotkałem, i przypadek mnie wraz z nim do szarego zawiódł domku. Powracaliśmy właśnie w licznem towarzystwie z wesołéj przechadzki. W mieście rozeszły się tamte osoby, a ja wziąwszy za rękę oficera, poszedłem do Amalii. — Już wieczór był zapadł, jeden z owych pięknych, uroczych wieczorów jesiennych; powietrze tak było spokojne, że żaden listek się nie ruszał, drzewa zaś ozłocone były ostatniemi promieniami zachodzącego słońca. Wpośród tak pięknéj natury, wszystko w téj chwili usypiającéj, tylko nie ludzi, co myślą, mimowolnie się człowiek marzeniom oddaje. — Byłato chwila — gdzie serce mięknie — gdzie człowiek lepszym się staje, i zapłakać lubi, choć żaden smutek sercu nie dolega. —

Szedłem więc milcząc, zatopiony w myślach, również Maurycy, a gdy oczy podniosłem, ujrzałem Amalię przy oknie siedzącą. Ostatni promień słońca padał na jéj głowę; zdawało mi się widzieć aureolę świętéj! Krucze jéj włosy dziwnie piękny połysk miały, w oczach jéj odbijała się radość, gdy mnie widziała, a na ustach igrał uśmiéch, który tak u niéj lubiłem. — Ubraną była jak zwykle w czarną suknią, biały kołnierz, a u gorsu ulubione kwiaty — fijołki.

„Otóż Amalia!« rzekłem do Maurycego, zwracając jego uwagę na okno domku. Spojrzał na nią i nie odszedł, owszem, przystąpił ze mną ku oknu, lecz spostrzegłszy, iż Amalia piérwszy raz go widząc, mocno się zarumieniła, i jak 15letnia dziewczynka bardzo się zmieszała, przemówiwszy tylko kilka słów z nami, prędko się oddalił; od tego czasu jednak, często chodził uliczką, widywał Amalię, pozdrawiał ją, a nakoniec jednego dnia przestąpił ze mną próg domku, i wszedł do pokoju. —

Są serca, które tak od nadziei odwykły, iż nie

pojmują szczęścia które ich spotyka. Tak też i Amalia nic nie spostrzegła, niczego sobie nie tłómaczyła, nawet niespokojną nie była; jéj smutek bowiem i zwątpienie wszystko jéj oczom jak gęsta zasłona zakrywały. Gdy d'Erval na nią patrzył, twarzy nie zmieniła, i taką była, jak kiedym ja na nią spoglądał, zrezygnowana i tęskna. —

Nie wiém, co się działo w sercu oficera; miłością tego nazwać nie można było, lecz litość, jaką w nim wzbudzała Amalia, graniczyła z miłością. Egzaltowany i do marzenia skłonny umysł młodzieńca, lubił atmosferę smutku i tęsknoty, otaczającą Amalię. Odwiedzał ją często, skarzył się, iż szczęścia nie ma; narzekał na swe zawiedzione nadzieje, nie zważając na to, iż z téj obopólnéj zamiany swych uczuć i marzeń, wzrosła ścisła sympatyja tych dwojga młodocianych serc, która równą prawie była szczęściu, którego istnienie zaprzeczali.

* *
*

Wkrótce potém szedłem z Maurycym koło lasku, w pięknéj okolicy poza miasteczkiem leżącéj, wtém d'Erval rzekł do mnie:

»Czyż prawdziwe szczęście na téj ziemi nie zależy na uszczęśliwieniu innych? Czyż sercu nie błogo widząc ich radość i wdzięczność? Czyż nie lepiéj i szlachetniéj poświęcić się dla osoby, któréj bez tego, łzy tylko i żale udziałem byłyby w tém życiu, aniżeli uganiać się za świetnym losem, za błahemi błyskotkami świata? Czyżto nie najpiękniejsze marzenie, umierającemu sercu nowe módz wlać życie!? —

Spojrzałem na niego, a łza zabłysła w mém oku.....

»Tak jest,” odrzekł, „spytaj się Amalii, czy chce być żoną moją?” Odpowiedziałem mu wykrzykiem radości, i nie tracąc chwilki czasu pobiegłem do niéj. — Zastałem ją jak zwykle przy oknie siedzącą, smutną, tęskną, i pracującą. — Samotność, cisza ją otaczająca, i brak wszelkiego interesowania się czémkolwiek, uspiły niemal jéj duszę; nie cierpiała już więcéj, widząc mnie, uśmiéchnęła się tylko; to było wszystko na co się to biédne w uczuciach zdrętwiałe stworzenie zdobyć mogło. — Nie lękałem się, że ją wiadomością moją zbyt silnie, lub niebezpiecznie wzruszę, owszem, chciałem się przekonać, czy w niéj życie zupełnie zagasło, lub się też tylko chwilowo oddaliło? Siadłem przeto naprzeciwko niéj, a biorąc jéj ręce w moje, i patrząc jéj w oczy, rzekłem powoli:

„Amalio! Maurycy d'Erval polecił mi zapytać ciebie, czy chcesz być żoną jego?”

Słowa moje nadzwyczaj mocne na Amalii uczyniły wrażenie; łzy potokiem z ócz się jéj puściły; krew jéj, tak długo skrzepła, przyspieszyła biegu swego, i rozlała się po jéj żyłach — gorący rumieniec oblał jéj lica, łono jéj wzniosło się, i ledwo oddéchać mogła. Słyszéć można było każde serca jéj uderzenie, a nadzwyczajną siłą ściskała me ręce. Amalia dotąd w śnie tylko pogrążoną była, teraz następowało zbudzenie. Tak jak głos boży niegdyś zawołał na młodą umarłę dziewicę:

„Powstań i żyj!”— tak wtedy miłość do Amalii rzekła: »Zbudź się!»

Amalia kochać zaczęła w téj chwili, wtedy dopiero zasłona się przerwała i poznała swą miłość. —

Po chwili przetarła ręką po czole i spytała: „Czyż to być może — nie jestże to sen? — Ja powtórzyłem tylko: »Amalio, Maurycy d'Erval polecił mi zapytać ciebie czy chcesz być żoną jego?” — chcąc ją do tych słów przyzwyczaić, które jeden akord tworząc, jak cudowna, i dotąd jéj nieznana melodyja, w jéj uszach zabrzmiały!

»Jego żoną!” powtórzyła cicho „Jego żoną!” zawołała z uniesieniem — poczém pobiegła ku swéj matce — i rzekła: „Matko, czy słyszysz, każe mi się zapytać, czy chcę być żoną jego?” — „Moja córko,” odrzekła ciemna staruszka, wyciągając ku niéj ręce, „moja kochana córko — pierwéj czy później musiał Bóg wynagrodzić twą cnotę.” —

„Mój Boże!” zawołała Amalia. »Cóż się dziś ze mną dzieje?! tam j e g o ż o n a! — tu moja k o c h a n a córko!»

Padła na kolana, złożyła ręce, i ze łzami, rzęsiście po jéj twarzy płynącemi, modlić się zaczęła do Boga..... Wnet w sieni kroki słyszéć się dały. — »To on!” zawołała Amalia. „O Boże!” dodała, kładąc obie ręce na serce. »Otóż t o jest życie!!”

Oddaliłem się nieznacznie, chcąc aby Amalia, która w swém szczęściu, w swych łzach prawdziwie piękną była, sama Maurycego przyjąć mogła.

* *
*

Z tym dniem Amalia zupełnie się odmieniła, pod łagodnym wpływem szczęścia odmłodniała. Postać jéj do góry się wzniosła, twarz jéj jaśniała wyrazem nieopisanego, niebiańskiego szczęścia i radości; tak jest, odzyskała więcéj niż utraconą piękność. — Szczęście jéj przybrało cokolwiek z właściwego jéj charakteru; była bowiem cicha, małomowna, spokojna; a Maurycy, który kochał bladą, w cieniu zwiędniałą, w życiu i w nadziejach zawiedzioną dziewczynę; nie potrzebował nic zmieniać w barwach obrazu, jemu się podobającego, pomimo że Amalia szczęśliwą była.

Długie wieczory przepędzały z sobą, w ciasnéj izdebce Amalii, bez innego światła, oprócz ciekawego, śrebrnemi promieniami przez otwarte okno patrzącego księżyca. Mało z sobą rozmawiali — długo na siebie spoglądali, i wiele marzyli. Amalia kochała szczerze i otwarcie. Mówiła Maurycemu: »Jestem szczęśliwą, kocham cię, i dziękuję ci.” —

Szczęście jéj nie szukało słońca, światła, i ob-